

WILLIAM GAGNON

Szpitalnictwo ku wschodowi



50-lecie śmierci
1972 - 2022



WILLIAM GAGNON

Szpitalnictwo ku wschodowi

50-lecie śmierci
1972 - 2022

Wstęp

Z okazji 50-tej rocznicy śmierci sługi bożego Williama Gagnona (1972-2022), została przygotowana ta krótka biografia w celu lepszego poznania jego życia i zrealizowanych przez niego dzieł.

Spuściznę, którą nasz współbrat pozostawił całemu Zakonowi i wielkiej Rodzinie Szpitalnej, można streścić w tych krótkich słowach, które napisał do współbraci podczas swojej posługi jako przełożony prowincjalny w Kanadzie: *„Nasze powołanie jest wspaniałe; leczyć Chrystusa w cierpiących ludziach i prowadzić ich do Jezusa przez nasze życie pełne oddania i miłości. Ale aby to czynić, konieczna jest wielka wiara, która sprawia, że we wszystkich naszych braciach, bez względu na to, kim są, widzimy zawsze tego samego Naszego Pana. Tę żarliwą wiarę można zdobyć tylko dzięki modlitwie”*. Te krótkie słowa wystarczyłyby, aby zrozumieć, z jak głęboką duchowością brat William przeżył swoje życie, hojnie i bezgranicznie poświęcając się dla wszystkich ludzi, a zwłaszcza dla chorych, którymi osobiście się opiekował.

Ta krótka biografia, przedstawiająca ważne fragmenty jego życia, wzbogacona jest fotograficznymi wspomnieniami, które utrwaliły niektóre momenty historyczne, ukazując je w ich kontekście i rzeczywistości.

Mam nadzieję, że to opracowanie poruszy serca wielu osób, które na różne sposoby należą do naszej licznej Rodziny Szpitalnej i z wielką pasją i profesjonalizmem opiekują się na co dzień ubogimi i

chorymi w duchu charyzmatu szpitalnictwa, który pozostawił nam św. Jan Boży.

Kończę tę krótką prezentację, ponownie zapożyczając słowa brata Williama, które w niezwykle sposób podsumowują jego duchowość szpitalniczą: *„Zaszczyty to tylko dym i ogień ze słomy. Ważne jest jedynie dobro, które uczyniliśmy, jesteśmy wdzięczni Bogu za to, że w każdej chwili daje nam te radości”*. Taki był nasz Sługa Boży. W swoim życiu czynił tylko dobro, zawsze uciekając od wszelkich form ekshibicjonizmu i egocentryzmu, robiąc wszystko dla wszystkich z miłości do Boga, poświęcając się, aż do samej śmierci.

Rzym, 28 lutego 2022

BR. DARIO VERMI, O.H.
Postulator Generalny

RODZINA GAGNON

Wśród emigrantów z kanadyjskiego Quebecu, którzy licznie udawali się do Nowej Anglii w Stanach Zjednoczonych w XIX wieku, byli także Delphin Gagnon i Marie Louise Roy, którzy pobrali się i zamieszkali w Dover, w mieście położonym w stanie New Hampshire. Tam doczekali się dwanaściorga dzieci, w tym Williama. Były to trudne czasy, rozprzestrzeniła się hiszpańska grypa (lata 1918-1920) i szalał kryzys finansowy, tzw. *Big Crash* (rok 1929), mający poważne reperkusje we wszystkich dziedzinach życia.

William Gagnon urodził się 16 maja 1905 r. w Dover. W tym samym dniu został ochrzczony w Parafii św. Karola Boromeusza, którą prowadzili misjonarze św. Karola (skalabrynianie). W okresie Świąt Bożego Narodzenia, w 1913 r., w wieku 8 lat, mały William przyjął pierwszą komunię św. a w 1917 r., w kościele parafialnym Lac Baker (Nowy Brunswick) z rąk bp. Louis'a O'Leary sakrament bierzmowania.

Jedna z sióstr, Marie-Éva, w 1930 r. wstąpiła do zgromadzenia sióstr Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i później stała się powiernicą duchową swojego brata. Będzie to ta siostra, której William wyzna swoje pragnienie konsekrowania się Panu. Kiedy William wyrażał chęć zastania bratem zakonnym, zawsze spotykał się z ostrym sprzeciwem ze strony ojca, który był osobą o słabym i niezdecydowanym charakterze, zniewolonym przez nałóg alkoholowy i całkowitym analfabetą. Matka również sprzeciwiała się wyborowi syna, ponieważ

stanowił on dla niej istotną pomoc w prowadzeniu rodziny. Trudne przeżycia w rodzinie przygotowały Williama do stawienia czoła wyzwaniom i próbom, jakie napotkał w życiu zakonnym i przy zakładaniu domów-szpitali w Wietnamie.

Mały William niejednokrotnie był surowo karcony przez matkę z powodu psikusów, które robili jego bracia, jednak cierpiał bez buntu i bez wskazywania winowajcy. Dobroduszny i opiekuńczy, w milczeniu spełniał prośby rodziców; czasami matka zmuszała go do opuszczania szkoły, aby opiekował się rodzeństwem; było to jedno z zadań powierzanych mu w latach, gdy był dorastającym chłopcem.



Rodzina Gagnon w Dover, rok 1921

Po powrocie do Quebecu, gdy William skończył 13 lat, wraz ze swoim starszym bratem Józefem, zaczął uczyć się podstaw rolnictwa, wycinki drzew i handlu drewnem, z którego korzystało wiele fabryk papieru w okolicy. W tym okresie rodzina Gagnonów przeżyła dramatyczne wydarzenie, które okazało się jednak opatrnościowe.

POŻAR

Pewnego dnia rodzina Gagnonów wracała pociągiem z niedzielnej Mszy. Ojciec trzymał lejce, a matka opowiadała o tym i owym, myśląc o przygotowaniu obiadu. Z tyłu bawiły się dzieci, trochę sobie dokuczając.

Tego ranka, 1918 roku, słońce zalewało pagórkowaty krajobraz Quebecu z oddali widać było ciemny las a przed nim uprawne pola.

Nagle pan Gagnon ujrzał chmurę dymu wznoszącą się w niebo i kłęby ognia wydobywające się z posesji sąsiada. Był oszołomiony i choć sąsiad zdawał się panować nad sytuacją, od razu krzyknął na niego: „Zawiozę tylko rodzinę do domu i zaraz wrócę ci pomóc”.

W międzyczasie wiatr roznosił iskry, co groziło rozprzestrzenieniem się ognia również na inne domy. Trzeba było natychmiast ratować sprzęt i narzędzia: widły, łopaty, maszyny. Pan Gagnon oczami wyobraźni już widział dramatyczny obraz: zabudowania zniszczone przez pożar, martwe bydło, domy do odbudowy. Już myślał o konieczności powrotu żony i dzieci do Dover.

Podczas gdy rodzice walczyli, aby opanować ogień, William opiekował się młodszym rodzeństwem. Mimo, że miał zaledwie 13 lat, jego wiara w Bożą Opatrzność była bardzo silna. Patrząc matce w oczy powiedział: „Mamo, dobry Pan będzie chronił dzieci, bo to aniołki. Zostaję tutaj, aby się modlić. Farma nie spłonie!”

William zabrał dzieci na pole, aby zapewnić im bezpieczeństwo i wszyscy zaczęli się razem modlić. W krótkim czasie osadnikom udało się ugasić pożar. Pogorzelisko, mimo że straszne, wyglądało jednak jak znak nadziei - trzy kilometry terenu zamieniło się w tajemniczy sposób w żyzny grunt pod przyszłe zasiewy.

William miał rację: dziesiątki rodzin, domy i zwierzęta ocalały.

Po trzech latach w Témiscouata, pełnym lasów obszarze Quebecu, gdzie rodzina przeniosła się do pracy, w 1920 roku powrócili ponownie do Dover w New Hampshire.

POSZUKIWANIE DROGI ŻYCIA

W tamtych czasach tylko dzieci z bogatych rodzin mogły kontynuować naukę, więc Józef i William musieli zakończyć naukę i obydwaj zostali zatrudnieni jako robotnicy w przędzalni bawełny.

Jako drugie dziecko, młody William bardzo wcześnie podjął pracę, aby pomóc finansowo swoim rodzicom. Bardzo się starał, aby być przykładem dla młodszych braci i sióstr. Ogrodnik, drwal, robotnik w fabrykach bawełny, dzień i noc: nic nie było dla niego ciężarem.

Wzrastało w nim pragnienie absolutu: *A jeśli życie jest czymś więcej niż pensją zarobioną ciężką pracą, niż pieniędzmi przynoszonymi do domu?* William marzył o wyjeździe jako misjonarz do odległych krajów, aby pomagać potrzebującym. Ale od czego zacząć poszukiwanie tej drogi? Co zrobić, by rozpocząć życie zakonne?

Zapukał zatem do drzwi dwóch wspólnot zakonnych: jednej w Quebecu, a drugiej w New Hampshire. Z różnych jednak powodów wycofał się. Myślał o trzecim zgromadzeniu w Stanach Zjednoczonych, ale pewien ksiądz mu je odradził. William postanowił odłożyć realizację swojego planu na inny czas.

W 1926 r., w wieku 21 lat, William podjął pracę w przędzalni bawełny w Dover. Przypuszcza się, że gościli go jacyś krewni, a zapłatę przysyłał matce. W tym samym czasie zgłosił się do koncepcjonistów

(Synowie Niepokalanego Poczęcia NMP, zgromadzenia założonego w Rzymie w 1857 r. przez bł. Luigiego Montiego), ale nie został przyjęty, ponieważ niektóre badania kliniczne wykazały rzekomą chorobę nerek. Wrócił więc do Barton, gdzie w międzyczasie rodzina Gagnonów przeprowadziła się w 1922 r. nie rezygnował jednak z szukania innej drogi swojej konsekracji.

W 1930 r. młodsza siostra Marie-Éva przyjęła habit zakonny w Zgromadzeniu Sióstr Wniebowzięcia w klasztorze Nicolet i ten wybór wzbudził w Williamie coraz większe pragnienie poświęcenia się Bogu. Mniej więcej w tym samym czasie pewien ksiądz opowiedział mu o Zakonie Szpitalnym św. Jana Bożego i to utkwіło mu w pamięci. Pewnego ranka, otwierając gazetę, William przeczytał krótką biografię św. Jana Bożego, opublikowaną w rubryce, która opowiadała o życiu świętych. Z redakcji tej gazety uzyskał adres, pod którym można było znaleźć braci św. Jana Bożego, którzy przybyli do Montrealu 16 kwietnia 1927 r. z misją niesienia pomocy ubogim i pozbawionym środków do życia w schronisku *No-tre-Dame de la Merci*, w jednej z dzielnic miasta.

Droga życia Williama zaczęła zarysowywać się na horyzoncie. Zastanawiał się, jak mógłby służyć Bogu i innym. Zamiast spędzać życie w hałaśliwej fabryce, chciał świadczyć o swojej miłości do Boga i bliźniego, praktykując szpitalnictwo.

POCZĄTEK PRZYGODY

11 października 1930 r. William napisał do Br. Laurenta Cosgrove, przełożonego szpitala *Notre-Dame de la Merci* i magistra nowicjuszy, a ten dostrzegł obiecujące cechy osobowości w młodym Gagnonie.

22 października William został przyjęty jako postulanta do Zakonu Braci św. Jana Bożego i był już pewien, że jest na właściwej drodze. Nie wszystko jednak szło zgodnie z jego oczekiwaniami. Już w grudniu, tego samego roku, otrzymał listy od rodziców z prośbą o czasowe przerwanie podjętej drogi i powrót do domu, aby pomóc rodzinie w trudnej sytuacji. Z wielkim żalem młodzieniec posłusznie poddał się woli rodziny, zawierając swoją drogę Bożej Opatrzności.

Ciężka praca w domu rodzinnym nie odwracała jego uwagi od celu, który sobie postawił. W liście napisanym 6 stycznia 1931 r. wyznał przełożonemu, że bardzo tęskni za współbraćmi. W rodzinie zawsze starał się dawać z siebie wszystko. Już w szkole pokazał, że jest posłusznym i uważnym uczniem; pomagał nauczycielom, zarówno zakonnym, jak i świeckim, wykonując drobne prace. Po rodzicach odziedziczył wytrwałość, dobrą organizację i wiarę.

Podczas pobytu w Kanadzie rodzice Gagnon przygarnęli w swojej posiadłości rodzinę znajdującą się w trudnych warunkach z powodu choroby i biedy. Ta otwartość na innych zrobiła na Williamie ogromne wrażenie.

Doświadczenia rodzinne przygotowały go do podjęcia ostatecznej decyzji poświęcenia swojego życia Panu w Zakonie Szpitalnym św. Jana Bożego. William wyczuwał szpitalnictwo niemal instynktownie, jak swoją drugą naturę. Opieka nad rodziną była jak troska o chorych i potrzebujących.

29 marca, po zaledwie trzech miesiącach, William powrócił do konwentu.



Grupa profesów czasowych.
Br. William w drugim rzędzie

17 kwietnia 1931 r., w wieku 25 lat, rozpoczął formację jako postulant, przechodząc przez wszystkie etapy formacji zakonnej; 16 lipca tego samego roku otrzymał habit zakonny oraz imię brat William; 20 listopada 1932 r. złożył śluby czasowe, a 21 listopada 1935 r. w wieku 30 lat, śluby wieczyste.



Br. William profes wieczysty 1935

WIERNOŚĆ POWOŁANIU

W ciągu następnych lat jego wzorowe życie, na które składały się małe i wielkie akty miłosierdzia wobec innych, a także głęboka duchowość sprawiły, że został doceniony przez władze zakonne.

Już w 1937 r. br. William został mianowany przełożonym Aspirantatu. W pełnienie tej funkcji zaangażował się, do tego stopnia, że bracia mówili o nim: *“Ten mały człowiek, był troskliwym ojcem i bratem dla wszystkich, młodszych i starszych, którzy pukali do drzwi kolegium”*.



Br. William przełożony Aspirantatu w Montrealu, 1937

W kolegium formowani byli kandydaci, którzy następnie podejmowali drogę życia konsekrowanego. Wiele świadectw potwierdza skromność br. Williama, jego przyjacielski ton, którego używał podczas rozmów, prosty i urzekający uśmiech, który rozbrajał każdą próbę nieposłuszeństwa. Jeśli musiał kogoś skarcić, zawsze robił to prywatnie, nigdy publicznie, a osoba zainteresowana wychodziła z rozmowy pewna siebie i z ulgą. Bardziej niż napomnienie, było to zaproszenie do poprawy i lepszego zachowania.

Jedną z jego ważniejszych cech była punktualność w ważnych momentach wspólnotowych. Każdego ranka motywował młodych, którymi się opiekował, do rozważań, za pomocą krótkiej medytacji napisanej specjalnie dla nich, na temat liturgii dnia, aby ich przygotować do Mszy św. i odpowiednio ukierunkować ku ich przyszłości osób konsekrowanych.



Rada Delegatury Generalnej Kanady,
Szpital Notre-Dame de la Merci, Montreal 12 marzec 1939

Aby lepiej podkreślić prostoduszność jego postaci, można przytoczyć dwie wypowiedzi ówczesnego świadka: „Ludzie naprawdę wielcy to ci, którzy sprawując władzę, zachowują prostotę”. I dalej: „Kiedy go poznaliśmy, zawsze chodził, jak mówią, à la sauvette (pospiesznie). Wpadał załatwić jakąś sprawę i natychmiast uciekał: był człowiekiem, który nie lubił tracić czasu”.

Rozpoczął okres, w którym naprzemiennie sprawował ważne funkcje w Zakonie: radnego Delegatury Kanadyjskiej, przełożonego wspólnoty, delegata prowincjalnego, a później także prowincjała w bardzo delikatnym momencie erygowania nowej prowincji kanadyjskiej Zakonu, właśnie wtedy, gdy pojawiły się intensywne wewnętrzne napięcia dotyczące planowania najbliższej przyszłości, tak silne, że wymagało to zarówno wizyty przełożonego Prowincji Francuskiej i przełożonego generalnego, jak i bezpośredniej interwencji Stolicy Apostolskiej, która wysłała dwóch delegatów nadzwyczajnych.

23 lutego 1939 r. został mianowany trzecim radnym nowej Delegatury Generalnej Kanady. Natomiast 30 marca 1941 r. o. Henri Bourque sj, wizytator apostolski, mianował go Delegatem Generalnym Kanady, zastępując br. Mathiasa Barretta, a także przeorem konwentu-szpitala św. Jana Bożego w Montrealu. 28 października 1941 r. również o. Bourque, za zgodą Przeora Generalnego br. Ephrema Blandeau, mianował go przełożonym prowincjalnym i ponownie potwierdził go na tym urzędzie 22 maja 1945 r., powierzając mu również urząd ekonomy prowincjalnego.

Po zakończeniu II Wojny Światowej, 10 listopada 1946 r. odbyła się wreszcie pierwsza Kapituła Prowincjalna Kanady, której przewodniczył Ojciec Generał br. Ephrem Blandeau i br. William ponownie został wybrany przełożonym prowincjalnym.

W 1947 r. Gagnon wydał zgodę na założenie trzech nowych dzieł w Kanadzie, ale niestety znalazł się w konflikcie, najpierw z przeorem Szpitala św. Jana Bożego w Monteralu (1947), później z Definitorium Prowincjalnym przeciwnym utworzeniu komitetu świeckiego przy Szpitalu św. Augustyna w L'Ancienne-Lorette (1948) i ponownie z przeorem szpitala św. Jana Bożego, który objął urząd ekonoma.

25 maja 1948 r. pozbawiony już urzędu przełożonego prowincjalnego, o czym będzie mowa w następnym rozdziale, został mianowany przeorem szpitala św. Augustyna w L'Ancienne-Lorette. Br. William powrócił do życia, którego najbardziej pragnął, stał się bratem wśród swoich braci, „sercem na dłoni”. Opiekował się chorymi, modlił się z nimi; wieczorem, w czasie swojego odpoczynku, mył podłogi; nadzorował i kierował działalnością woltariuszy i dobroczyńców.

Swoim przykładem ożywił powierzone mu wspólnoty bardziej niż słowami, potrafił z cierpliwością rozwiązywać jeden po drugim różne pojawiające się problemy.

Członkowie wspólnoty od razu zdali sobie sprawę, że działania br. Williama są wyrazem wiary i prostolinijności jego osoby. Jego pokora urzekła współbraci. Pobożność w kaplicy, życzliwość wobec braci i współczucie dla chorych odzwierciedlały także jego listy.

Sługa Boży był raczej drobnej postury, wątłej budowy, delikatnego zdrowia, nawet jeśli nigdy na to nie narzekał, ale z drugiej strony miał żelazną wolę i wielki entuzjazm, który ożywił całe jego życie zakonne. Był dynamiczny, aktywny i zręczny, wytrwały w pracy i bardzo oddany, obdarzony rozbijającą prostotą, gorliwością apostołską i miłosierną miłością.

Do współbrata w Wietnamie, który był zdumiony, widząc, jak podejmuje ciężką, fizyczną pracę, br. William powiedział: „Kiedy jestem zajęty takimi pracami, zapominam o większych problemach, które mnie prześladują”.



Br. William wybrany prowincjałem podczas 1 Kapituły Prowincjalnej Kanady, której przewodniczył O. Generał br. Ephrem Blandeau, 6 listopada 1946

USUNIĘCIE Z URZĘDU PROWINCJAŁA

Przysłany z Rzymu Wizytator Generalny dostrzegł pewną *słabość i niezdecydowanie* Gagnona. Ambicja jednych często powoduje nieszczęście innym. Br. William doskonale wiedział, że będzie musiał zrezygnować z urzędu przełożonego prowincjalnego w Kanadzie; zastępca czekał w cieniu, by zająć jego miejsce. Br. William musiał tylko podpisać rezygnację, która została już dla niego przygotowana. Nie mógł nie zaakceptować faktów dokonanych.

W jego dwóch wysłanych później do magistra nowicjatu listach, można było odczuć jego samotność i udręczenie spowodowane sytuacją związaną z tą rezygnacją, pisał: „*Chowam się w ranach Najświętszego Serca Jezusowego. Tu jest moja jedyna pomoc i tylko z Nim mogę znaleźć szczęście, jeśli ono istnieje na tej ziemi*”. Z jego ust nie padły jednak żadne oskarżenia, żaden protest.

Smutek, który zrodził się z powodu tej nieuzasadnionej, a nawet nieprawnej rezygnacji, rozplątał się w modlitwie.

Jego ludzkie i duchowe zdolności pozwoliły mu zaakceptować konieczność rezygnacji i stawić czoła tej próbie z hartem ducha i ludzką mądrością.

Oficjalnie to on zrezygnował z urzędu, ale w rzeczywistości został do tego zmuszony 10 maja 1948 r.

Prawdą jest, że Wizytator Generalny uznał go za nieco słabego i niezdecydowanego jako przełożony; ale zdaniem wielu zakonników była to raczej postawa rozsądku Sługi Bożego, jego pragnienie zachowania jedności, harmonii, pokoju i roztropnej umiejętności łagodzenia trudnych sytuacji. Z drugiej strony był bardzo pokorny i w ogóle nie przywiązany do urzędów i władzy, przeciwnie, był zawsze dyspozycyjny i gotowy do okazania posłuszeństwa przełożonym.

Współbracia potwierdzili, że działania Sługi Bożego były warte znacznie więcej niż wiele traktatów o miłości i życiu zakonnym; jego pokora była bardziej wymowna niż wiele przemówień, a w listach okólnych podkreślał pobożność, łagodność dla braci i szczerze współczucie dla chorych. Cała jego gorliwość w szerzeniu nabożeństwa do Najświętszego Serca Jezusowego, troska o zdrowie fizyczne i duchowe braci i chorych były odzwierciedleniem jego głębokiej duchowości, wysokiego stopnia, jaki osiągnął w praktykowaniu cnót teologicznych oraz moralnych i przestrzeganiu ślubów, w tym czwartego ślubu szpitalnictwa.

Gagnon promieniował miłością w niezwykle sposób, także i przede wszystkim, podczas pełnienia obowiązków przełożonego. Zawsze znajdował czas na karmienie, mycie i słuzenie chorym, często zajmując się najbardziej odrażającymi i najcięższymi przypadkami, wykonując najbardziej niewdzięczne prace, ukazując swoją wielką zdolność do przyjmowania innych i gotowość do służenia,

cechy, które wzbudzały wokół niego nieprawdopodobny oddźwięk sympatii, zwłaszcza w Wietnamie.

Pomimo obowiązków administracyjnych i kierowniczych na szczeblu prowincjalnym, br. William spędzał przynajmniej godzinę dziennie przy chorych, aby ich myć, karmić, leczyć i pocieszać w cierpieniu. Często zachęcał swoich współbraci, aby bardziej się angażowali w pogłębianie duchowości Zakonu Szpitalnego, przypominając: *„Nasze powołanie jest wspaniałe; leczyć Chrystusa w cierpiących ludziach i prowadzić ich do Jezusa przez nasze życie pełne oddania i miłości. Ale aby to czynić, konieczna jest wielka wiara, która sprawia, że we wszystkich naszych braciach, bez względu na to, kim są, widzimy zawsze tego samego Chrystusa Naszego Pana. Tę żarliwą wiarę można zdobyć tylko dzięki modlitwie”*.

W sposób jasny widać było prymat miłości w jego logice i działaniu, w konkretnych inicjatywach, które byłyby bezsensowne bez miłosierdzia. Wierzył, że wojna w Wietnamie bez miłosierdzia trwać będzie w nieskończoność, podczas gdy miłosierdzie natychmiast by ją zakończyło: *„Jeśli nie dzieje się coś z miłości i miłosierdzia, nic nie może być dobre i pożyteczne, potrzebne jest miłosierdzie”*.

I odwołując się do nauczania św. Jana Bożego mawiał: *“Bądź zawsze miłosierny; ponieważ gdzie nie ma miłosierdzia nie ma Boga, chociaż On jest wszędzie”*.

Pomagać, kochać, dzielić się, troszczyć się, być miłym, altruistycznym, życzliwym, współczującym,

empatycznym, hojnym, opiekuńczym: to słowa, które określają miłosierne życie brata Williama.

Sługa Boży umiał być pokornym narzędziem zgody i harmonii wśród współbraci, chorych i personelu dzieła, łagodząc konflikty i szanując różnice kulturowe wszystkich i każdego z osobna.

Szczególnym wyrazem miłosierdzia jest czwarty ślub Zakonu, ślub szpitalnictwa, który Sługa Boży praktykował z radykalizmem, cierpliwością i wytrwałością. Był wierny powołaniu do szpitalnictwa, zawsze obejmującego wszystkich bez jakiegokolwiek dyskryminacji społecznej, politycznej czy religijnej. Pisał do swoich współbraci: *„Lepiej pozostać w obszarze dobrze praktykowanego szpitalnictwa, a świat niech zatrzyma dla siebie swoje pochlebstwa”*.

W obliczu trudności, jakie napotkał w swojej misji na rzecz chorych, z wytrwałą i nieugiętą wolą stawiał czoła każdej sytuacji, która powstała w wojennych warunkach, dając dowód odwagi i wielkiej siły wewnętrznej.

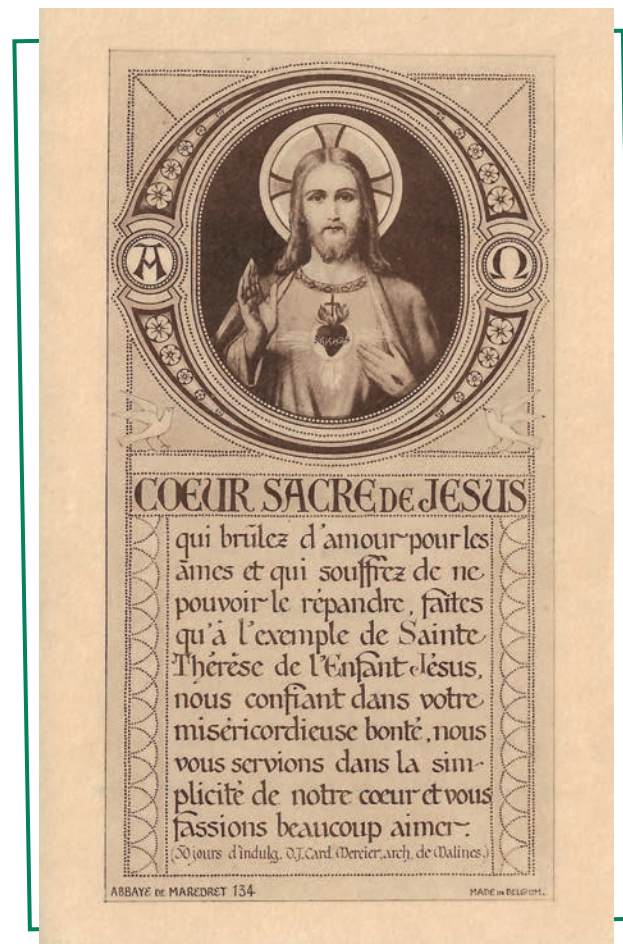
DUCHOWOŚĆ CHRYSTOCENTRYCZNA I MARYJNA

W duchowości br. Williama wszystko obracało się wokół Opatrzności Bożej, Dzieciątka Jezus, Matki Bożej Miłosierdzia, Najświętszego Serca Jezusowego, Ran Jezusa i św. Jana Bożego; jego wzrok był często utkwiony w Tabernakulum w spokojnej, medytacyjnej postawie. Kochał wszystkich bez wyjątku, był uprzejmy i surowy, dostojny i dyskretny; był uosobieniem dobroci, zwłaszcza wobec chorych, których traktował jak swoje dzieci; to samo nastawienie miał do kandydatów i aspirantów. Miał dar zjednywania sobie ludzi, był dobrym animatorem, bardzo lubianym. Nigdy nie był mu nikt obojętny, był wyrozumiały dla wszystkich; bardziej niż przełożonym był bratem, świadomym wagi swoich obowiązków, które na siebie przyjął, ufając w pomoc Bożą.

Brat William miał wyjątkowego „ducha dzieciństwa”. Zawierzał się Opatrzności Boga Ojca, dobrego i miłosiernego, który kocha swoje dzieci i prosi je o współpracę. Często mówił swoim braciom: „Przychodzę do was jako Ojciec”.

Jego szczególne nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusa wyrażało się często w listach, które jako prowincjał wysyłał do swoich współbraci. Co więcej, gdy rozmawiał z braćmi, nowicjuszami lub postulantami, nie omieszkał wręczać obrazka

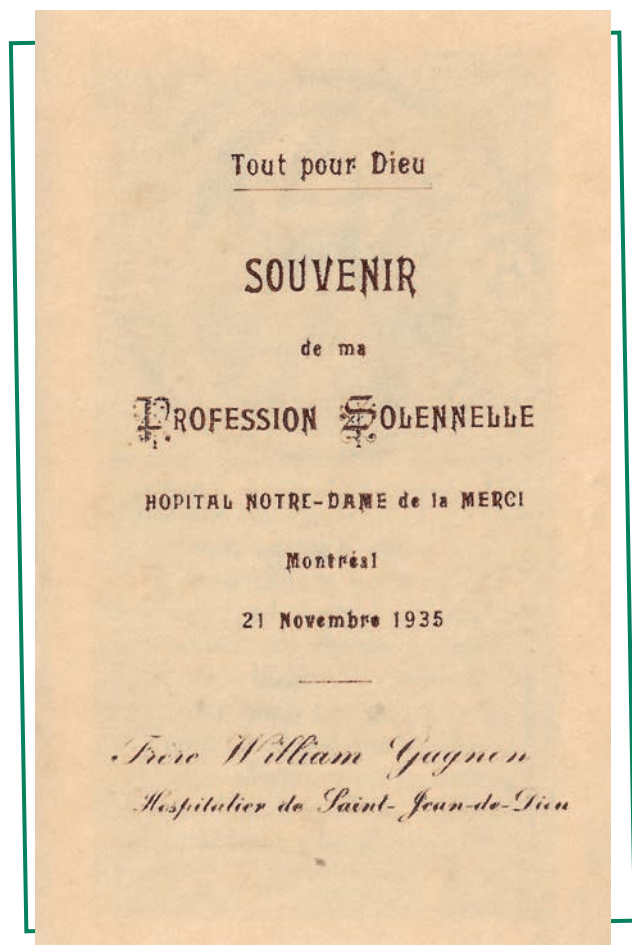
Serca Jezusowego, zachęcając ich do zaufania Mu. Podczas rekolekcji powierzył całą wspólnotę Najświętszemu Sercu Pana Jezusa. W trudnych chwilach wojny wietnamskiej współpracownicy słyszeli,



Pamiątka Profesji Wieczystej, 21 listopada 1935

jak wielokrotnie szeptał: „Najświętsze Serce Jezusa, ufam Tobie!”

W bracie Williamie pobożność eucharystyczna wyrażała się poprzez jego nieustanne odwiedzanie Najświętszego Sakramentu; za każdym razem, gdy



Pamiątka Profesji Wieczystej, 21 listopad 1935

przechodził obok kaplicy, zawsze zatrzymywał się na kilka minut na modlitwę, a czasami pozostawał na adoracji nawet w nocy. Szczególnie dbał o praktykę pierwszych piątków miesiąca, podczas których wystawiany był Najświętszy Sakrament, a wszyscy zakonnicy na zmianę prowadzili godzinną adorację. Często widywano go z różańcem w ręku; nieustannie uciekał się Maryi Dziewicy i jej przypisywał cud, że wyszedł bez szwanku z bombardowań. Zawsze obracał figurkę Matki Bożej Fatimskiej w kierunku, gdzie trwały starcia zbrojne.

Wyciągać rękę, jak Dzieciątko, do Marii z Nazaretu, to była nieustanna myśl brata Williama. Od młodości do ostatniej chwili życia, w każdych okolicznościach, prosił o wsparcie i opiekę Dziewicę Maryję, Królową nieba i ziemi, wiedząc, że Matka Boża nosi wszystkich w swoim sercu, i że odpowie na jego prośby.

Z takim samym uczuciem, jakim darzy się ukochaną osobę, umieścił obraz Najświętszego Serca Maryi w swoim biurze w Montrealu. Przy wejściu do nowicjatu postawił figurę, aby zachęcić nowicjuszy do nabożeństwa do Matki Bożej. Pewnego dnia ofiarował figurkę Dziewicy młodemu zakonnikowi leczonemu w szpitalu.

Jeden z jego współbraci, br. Gaston Morin, który był nowicjuszem, gdy br. William był przeorem, powiedział, że obserwując braci i br. Williama podczas modlitwy można było zauważyć, że br. William przyjmował postawę kogoś, kto znajduje się w Czystej obecności. W kaplicy nic go nie rozpraszało, jedynie krzyki chorej osoby. Zawsze oddawał się

Opatrzności i uśmiechał, pomimo pojawiających się prób i niepowodzeń.

Umiął rozładować wszelkie napięcia. Jeśli spotykał ubogich i bezdomnych, opuszczonych przez wszystkich, starał się zrobić dla nich jak najwięcej, hojnie ofiarując to, czym mógł dysponować. Miał ogromny dar pocieszenia: po rozmowie z nim, chory odyskiwał spokój. A cóż powiedzieć o darze szpitalnictwa? Jego hojność była nieograniczona, nie był w stanie niczego odmówić.

Codziennie odmawiał Litanię do Najświętszej Marii Panny i często przesuwiał palce po paciorkach różańca, który trzymał pod szkaplerzem, między starą, już połataną tuniką, a zdeformowanym przez czas skórzanym pasem.

Podczas pobytu w Wietnamie nasz „dobry Samarytanin” często odbywał swoje duchowe rekolekcje u ojców redemptorystów i korzystał z tych okazji, aby organizować wycieczki jeepem do Fyan, do jednego z trzydziestu trzech plemion żyjących na terenach górskich.

Jeden z redemptorystów był kierowcą i tłumaczem. Br. William zabierał do samochodu wszystko, co było potrzebne do prowizorycznego ambulatorium.

W 1970 r. br. William udał się do kolonii dla trędowatych prowadzonej przez Siostry Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. Podziwiał oddanie sióstr zakonnych dla tych chorych, którzy zostali zepchnięci na marginesy społeczeństwa.

Nasz Sługa Boży umiał łączyć wymiar duchowy z doczesnym; robił wszystko dla Boga. W jego duchowości nie było rozdwojenia, prowadził życie spójne ze swoją wiarą.



Ółtarz Najświętszego Serca w Kaplicy Szpitala Najświętszego Serca w Bui-Chu 1952

OTWARCIE NA MISJĘ

Po rezygnacji z urzędu prowincjała, w 1948 r., br. William został przeniesiony do Quebecu i mianowany pierwszym radnym prowincjalnym oraz przeorem szpitala św. Augustyna w L'Ancienne-Lorette, gdzie był odpowiedzialny także za duszpasterstwo powołań. 17 stycznia 1950 r., w wieku 69 lat, zmarł jego ojciec Delphin Gagnon. W miesiącach od października do listopada 1950 r. zastąpił przełożonego prowincjalnego, który wyjechał do Europy, podczas gdy Opatrzność przygotowywała go do oderwania

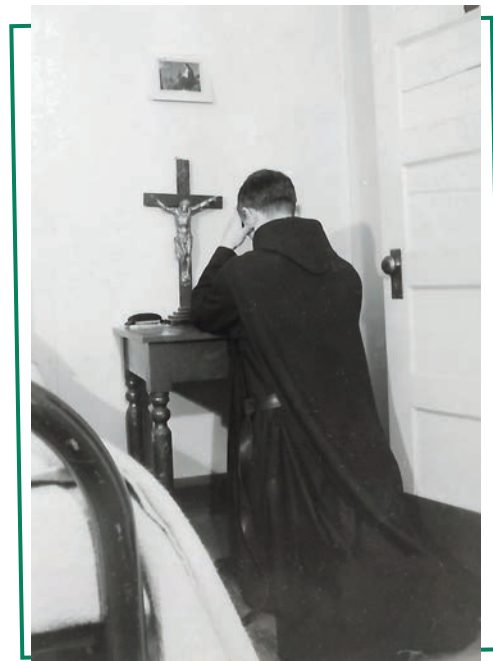


Br. William w swoim pokoju, Szpital św. Augustyna w L'Ancienne-Lorette 1948-1951

się od ojczyzny, krewnych i współbraci, aby stał się prawdziwym misjonarzem.

Prowincja Kanadyjska bonifratrów planowała bowiem założenie misji w Wietnamie. Br. William Gagnon, wiedząc jakie są warunki polityczne w tym odległym kraju, 24 grudnia 1950 r. złożył prośbę o zostanie misjonarzem wśród najuboższych.

Jego prośba została przyjęta wraz z prośbami dwóch innych współbraci i 19 października 1951 r. definitorium prowincjalne podjęło decyzję o wysłaniu ich na misję do Indochin. Następnie, w okół-



Br. William modlący się

niku z dnia 24 października 1951 r., inspirowanym encykliką *Evangelii praecones* o głoszeniu Ewangelii, prowincjał kanadyjski, br. Exupère Vien, zakomunikował nominację brata Williama na przełożonego dzieła misyjnego w Indochinach, zachęcając Sługę Bożego i jego braci, aby „nieśli ogień Miłosierdzia, którego misję głoszenia w odległych Indochinach nasz Zakon otrzymał od Kościoła”.

W ten sposób Sługa Boży w wieku 46 lat, już w złym stanie zdrowia, podjął długą podróż ze swoimi współbraćmi, br. Norbertem Laserte i br. Richardem Larivée, która trwała około miesiąca. Trzej zakonnicy przybyli do Indochin 18 stycznia 1952 r., dokładnie do Bui-Chu (Północny Wietnam) do Szpitala Najświętszego Serca, opuszczonego przez żeńską wspólnotę zakonną w 1950 r. z powodu braku bezpieczeństwa i niestabilności politycznej. Jednak z powodu wojny trwającej od 15 czerwca do 10 lipca



Br. Norbert, br. William i br. Richard wyjeżdżający do Wietnamu, 1951



Szpital w Hanoi, 1956

został zmuszony do opuszczenia Bui-Chu i schronienia się najpierw w Hanoi, a następnie w Dalat (Wietnam Południowy) u redemptorystów, gdzie on i jeden z jego współbraci przebywali przez kilka dni. Później samolot zabrał ich do Nam-Dinh, gdzie zostali powitani przez delegację księży i seminarzystów. Pierwszą noc spędzili w siedzibie biskupa. Rankiem obudził ich krzyżowy ogień artylerii. Kiedy dotarli do starego szpitala, natychmiast musieli zaopiekować się młodym mężczyzną, który przybył tam na noszach, w bardzo ciężkim stanie; oprócz obrażeń w różnych częściach ciała stracił nogę od bomby, która eksplodowała obok niego. Niestety, w szpitalu, w którym nie było już apteki, nie było nawet jednej fiolki z morfiną, aby ukoić jego ból. Człowiek ten nie był chrześcijaninem, ale chciał nim być i przed śmiercią został ochrzczony. Natychmiast przybył także biskup, który powiedział do braci: „Widzicie, jak bardzo was potrzebujemy!”

28 lipca 1953 r., br. William otrzymał nominację na przeora Szpitala Najświętszego Serca w Bui-Chu. W lipcu 1954 r., podczas najazdu komunistycznego, groziła mu śmierć i utrata Szpitala Najświętszego

Serca w Bui-Chu. Od września do października 1954 r. opiekował się chorymi w budynku starego więzienia w Tam Hiep (Wietnam Południowy). W lipcu i sierpniu 1955 r. rozpoczęto budowę szpitala w Honai w prowincji Bien-Hoa. 8 sierpnia 1956 r. został mianowany przeorem misji Matki Bożej Dobrej Rady w Honai (Bien-Hoa) i delegatem prowincjalnym.

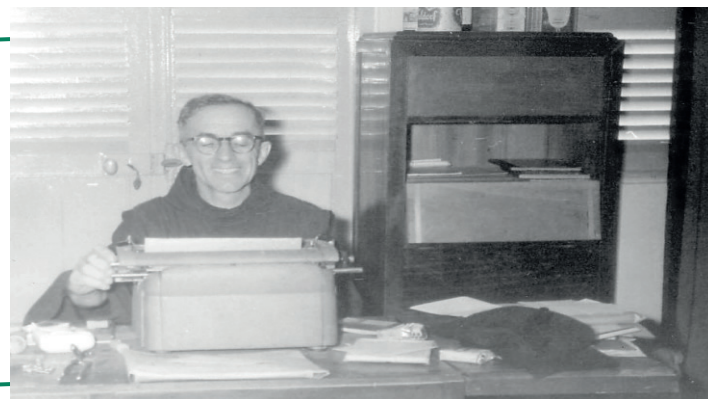


Br. William przyjmuje śluby młodego profesora, 1960

KORESPONDENCJA

Br. William bardzo dbał o kontakty z ludźmi. Pisał głównie do współbraci, ale także do swojej rodziny w Nowej Anglii. Pisał na maszynie na papierze firmowym, jednak zawsze podkładał kalkę i drugą kartkę. W ten sposób zatrzymywał kopie listów, które wysyłał pocztą. Listy docierały do celu po około dwóch tygodniach.

Gdy list nie dotyczył spraw kanonicznych, na marginesie dopisywał wiadomości dla swoich młodych współbraci, oszczędzając w ten sposób czas i pieniądze. Niektóre listy odczytywał razem ze współbraćmi. Był to sposób na przełamanie izolacji, w jakiej znaleźli się bracia i utrzymanie więzi z Kanadą.



Br. William zajęty korespondencją

Współczucie br. Williama uwrażliwiło go na doświadczenia innych i praktykował je również za pomocą korespondencji.

Pewnego dnia br. William zauważył smutnego młodego misjonarza; zachęcił go zatem, aby odnowił kontakt z rodzicami, zwłaszcza z ojcem, jako że między nimi nastąpiło pewne ochłodzenie relacji. Sam br. William wyszedł z inicjatywą napisania bezpośrednio do prowincjała Prowincji Kanadyjskiej, który przebywał u swego wuja ze strony matki i zarazem kierownika duchowego tegoż misjonarza.

Dzięki tej inicjatywie stopniowo naprawiały się relacje między młodym bratem a jego rodzicami.

ŻYWE MIŁOSIĘRDZIE

Od początku wojny w Indochinach, br. William błagał Niebo o ochronę misji - Szpitala Najświętszego Serca w Bui-Chu.

Biorąc pod uwagę siłę i kierunek ostrzałów, obracał statuetkę Matki Bożej Fatimskiej w obronie misji. Tym prostym gestem miał nadzieję, że Dziewica otworzy oczy i serca walczących i doprowadzi ich do dialogu, aby wstrzymali ogień i podjęli inicjatywy pokojowe.

Mury misji otoczone były drutem kolczastym, symbolem rozpacz, ale mimo to misja była symbolem tego, jak współczucie i poświęcenie mogą stłu-



Panorama Szpitala Najświętszego Serca w Bui-Chu, 1952

mić krzyk śmierci, a przede wszystkim symbolem ochrony i szacunku dla godności człowieka.

Czasami przeciwnik rzucał granaty na spadzisty dach kaplicy. Słysząc było tylko odgłos lądowania granatu, a potem toczenia się po ziemi, aż zniknął w wilgotnej trawie wczesnego poranka.

Ale Niebo wydawało się, że nie chce się poddać. W tym zakątku kraju bracia św. Jana Bożego mieli w swoich rękach „granaty miłosierdzia”.



Moment braterstwa

POKORNE SZPITALNICTWO

Br. William opiekował się chorymi, ubogimi i uchodźcami, jakby chciał wynagrodzić cierpienia Chrystusa na krzyżu. Dla tego misjonarza ulga w cierpieniu była jego *raison d'être*. W swoim pokoju często klęczał przed krzyżem.

W czasie Eucharystii i podczas adoracji rozważał życie, mękę i zmartwychwstanie naszego Pana. Życie rodziło się z tej niesprawiedliwej i absurdalnej śmierci.

Br. William rozmyślał i działał. Czuł się nieprzygotowany by stawiać czoła akademickim teoriom, niegodnym otrzymanych zaszczytów; zawsze wolał pozostawać na ostatnim miejscu. Czuł się bardziej przydatny, aby trzymać chorego za rękę lub przygotować ciało zmarłego do pochówku.

Pacjent uzdrowiony dzień wcześniej, rodzina przyjęta rano w ambulatorium, ciało zmarłego pochowane po południu: wszystkie cierpienia i radości br. William ofiarowywał Jezusowi.

Dzięki temu jego serce biło w rytm Prawdy - Chrystusa.

Szacunek dla chorych był dla niego absolutną wartością, autentycznym sposobem praktykowania ślubu szpitalnictwa, właściwym dla braci szpitalnych św. Jana Bożego. Ogromnym wrażeniem było widzieć go przy łóżku chorego, gdy leczył rany i odleżyny, nawet te najbardziej odrażające.

Biskup Xuân Lôm opowiada, bardzo ciekawy epizod o miłosierdziu praktykowanym przez Gagnona: „Pewnego dnia, na początku wietnamskiego roku, został przewieziony do szpitala pacjent z poważnymi problemami z płucami. Br. William wziął go na rękę. Ten chory człowiek z wymiotował jeszcze krwią na podłogę sypialni i habit brata Williama i zmarł. Sługa Boży bez odrazy ucałował go, trzymając cięgle w ramionach i zaniósł do dormitorium. Wiara i miłosierdzie pomagały mu przezwyciężyć wstręt do nieprzyjemnych sytuacji związanych z naszą kruchą ludzką naturą”.



Br. William opiekuje się rannym żołnierzem, 1953

Wielu braci deklarowało, że widok brata Williama przy pracy z chorymi umocnił ich powołanie.

Poświęcenie i pokora, z jaką pracował, oraz umiejętność współczucia w cierpieniu innych, w pewnym sensie udzielały się również współpracownikom, tworząc w ten sposób atmosferę spokoju w szpitalu, który jest miejscem cierpienia.

Jeden ze współbraci powiedział, że br. William był jak ojciec, pełen dobroci i miłości. Czasami wpadał w złość lub irytował się trudnościami spowodowanymi niewystarczającą znajomością języka, ale



Wizyta we wspólnotce ordynariusza bp. Pham-Ngoc-Chi, styczeń 1952

gdy zdawał sobie z tego sprawę, natychmiast prosił o przebaczenie.

Sługa Boży wypełniał czwarty ślub szpitalnictwa, zawsze zadowolając się tym, co miał, podczas gdy był bardzo hojny dla innych. Sprawiał wrażenie osoby, która zawsze chciała faworyzować innych; dla siebie nigdy o nic nie prosił. Jego habit był znoszony i połatany.

Odznaczał się duchem służby: często pozostawiał dla siebie najbardziej niewdzięczne prace, takie jak wrywanie chwastów, sprzątanie pomieszczeń i łazienek.



Wspólnota Bui-Chu, 1953

Jeden ze świadków powiedział: *"Po kilkukrotnym spotkaniu z Bratem zauważyłem, że był całkowicie oddany opiece nad chorymi. Każdego ranka jeździł swoim samochodem na targ, żeby kupić żywność i rzeczy potrzebne chorym. Po południu odwiedzał pacjentów i sprawdzał ich stan zdrowia. Kiedy widział, że pomieszczenia są brudne, podwijał rękawy habitu i brał się za sprzątanie. W każdą sobotę rozdawał ubogim ryż i mleko. Jego miłosierdzie było całkowicie ukierunkowane na służbę chorym i ubogim."*

PIĘKNY KONCERT!

Brat William używał tego stwierdzenia w swoich listach, aby odnieść się do wybuchów bomb i odgłosów wystrzałów. Chciał w taki sposób zakpić z niegodziwości ludzi, zaślepionych niszczycielską mocą. Według niego ta brutalność w końcu zniknie jak zły koszmar.

Kiedy nocne wybuchy, niemal jak fajerwerki rozpałały niebo, br. William udawał się do kaplicy. Tam sam lub w towarzystwie jakiegoś brata błagał Niebo, aby chroniło wszystkich uchodźców, którzy przeżywali chwile grozy. Modlił się do Najświętszej Maryi Panny o powrót pokoju do serca każdego człowieka.

Sceny wojenne szybko stały się codziennością. Mimo ryzyka i trudności br. William, ufając Bogu, stawiał czoła wszystkim niebezpieczeństwom, a braciom, którzy zapytali go, czy nie boi się trafienia bombami lub kulami, odpowiedział: „*Musimy wierzyć w Opatrzność Bożą! Bóg zawsze nas chroni w swoim miłosierdziu. Czas należy do Boga. Życie czy śmierć jest Jego decyzją. Czego mamy się bać?*”. Przykład przeora bardzo dodawał otuchy współbraciom, bardziej niż kiedykolwiek zdecydowanym pozostać na miejscu bez względu na to, co się wydarzy. I właśnie taka odwaga przyniosła liczne powołania.

Br. Jean de Dieu Spenard, którego przełożonym w nowicjacie był Sługa Boży, a następnie pracował z nim przez dziewięć lat w Wietnamie, powiedział: „*Br. William, mimo słabej znajomości miejscowego*

języka, był najbardziej kochany i podziwiany przez Wietnamczyków, którzy nie rozumieli, jak ten obcokrajowiec mógł pozostać tak pokorny i spokojny pomimo ogromnych problemów i odpowiedzialności, zawsze gotowy do wysłuchania wszystkich. Byli pewni, że on rozumiał ich potrzeby: ta postawa podbiła ich serca. W pierwszych latach jego misyjnego życia zawsze widziałem go takiego samego, był niezmienny: jako wzorowy zakonnik, jakim był, zapraszał nas do pójścia za nim zajmując się najprostszymi pracami, takimi jak opieka nad kurnikiem, hodowla i dogłądanie trzody chlewnej, ogrodnictwo, codzienne zakupy na targu. Chciał nieustannie dawać z siebie jak najwięcej. On głosił bardziej przykładem niż słowem i to zdumiewało”. To nauczanie bardziej przykładem niż słowem jest tematem, który nieustannie powraca we wspomnieniach wszystkich, którzy go znali.

Trzej bracia szpitalni musieli zaopiekować się oddalonym o 120 km na południe od Hanoi, w delcie Rzeki Czerwonej, Szpitalem Najświętszego Serca w Bui-Chu i przylegającym do niego ambulatorium. Zadanie było szczególnie trudne: trzeba było zastąpić wykwalifikowany personel, zwłaszcza narodowości francuskiej, który wyjechał z powodu zaostrzenia się sytuacji, pozostawiając miejscową ludność bez pomocy. Budynek był zrujnowany, nie było lekarstw i sprzętu medycznego. Tylko opiece Matki Bożej Fatimskiej, której figura stała tuż przy wjeździe do wsi, oraz Najświętszemu Sercu Pana Jezusa, Sługa Boży przypisywał to, że byli w stanie tam pracować.

MISJONARZ NIOSĄCY NADZIEJĘ I PRZEBACZENIE

W czasie konfliktu br. William wraz z narodem wietnamskim cierpiał głód i brak artykułów pierwszej potrzeby, ale nie przestawał opiekować się dziećmi, starcami i ubogimi, których ciała były rozrywane przez karabiny maszynowe i bomby. Sługa Boży opiekował się wszystkimi, bez żadnego podziału politycznego czy społecznego, czy byli partyzantami, czy żołnierzami, dla niego nie było różnicy. Przedstawił rządowi potrzebę leczenia w szpitalu wszelkiego rodzaju chorób i wszystkich pacjentów, bez jakiegokolwiek dyskryminacji o charakterze politycznym czy etnicznym.

W 1954 r. północna część kraju była na skraju wpadnięcia w ręce komunistów. Trzeba było radzić sobie z różnymi sytuacjami kryzysowymi spowodowanymi napływem coraz większej liczby uchodźców na południe. Oprócz masowego szczepienia ich przeciwko ospie i cholercie, bonifratrzy wraz z ojcami redemptorystami pomagali w utrzymaniu bezpieczeństwa. Sytuacja stawała się naprawdę niebezpieczna. W liście napisanym do siostry Marie-Évy br. William wspominał o poważnym niebezpieczeństwie, na jakie wspólnota była narażona z powodu pewnego chorego.

Otóż, ten ciężko chory człowiek, któremu br. William i dwaj inni bracia zapewnili pomoc medyczną i

opiekę, dał grupie partyzantów ich fotografię. Jak i kiedy zrobiono to zdjęcie, nigdy się nie dowiedziano, ale nad głowami braci wisiło widmo aresztowania, a nawet śmierci.

W tej sytuacji br. William poczuł się tak, jakby został przeniesiony do swego rodzaju Ogrodu Oliwnego. Przypomniał sobie, co poradził dwóm belgijskim księżom - by byli bardzo ostrożni. Oni być



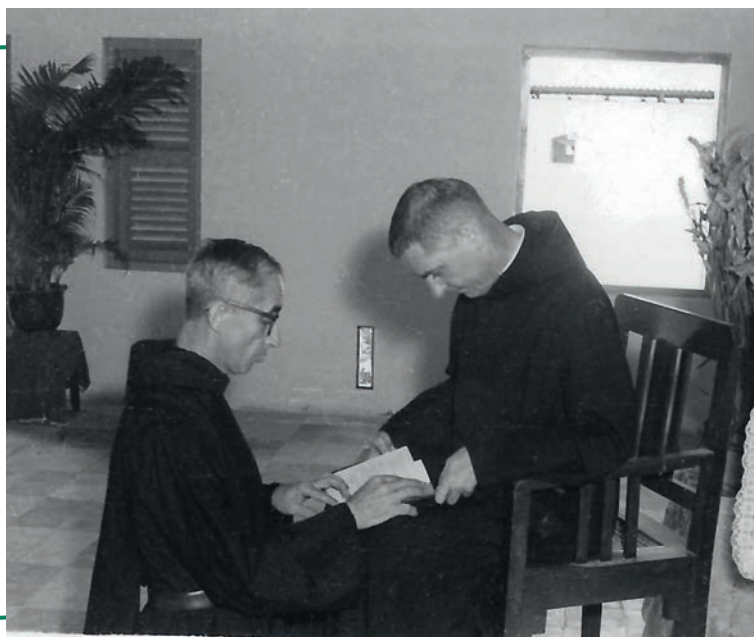
Br William podczas odpoczynku, 22 grudnia 1957

może nieświadomie, nie za bardzo się tym przejęli i zbytnio nie zważali na to ostrzeżenie. Partyzanci schwytali ich i później obaj zmarli w niewoli.

Zgodnie z sugestią biskupa, trzech naszych kanadyjskich bonifratrów opuściło dzieło na kilka dni.

„Czasami – mówił br. William wspominając tę historię - nawet ci, którym pomagamy lub którymi się opiekujemy, odpłacają nam niewdzięcznością. A nawet, niewdzięczność jest proporcjonalna do otrzymanej pomocy”.

W 1956 r. br. William został mianowany przeorem nowego szpitala w Honai, który powierzył pod opie-



25-lecie profesji zakonnej, 22 grudnia 1957

kę Matki Bożej Dobrej Rady, zgodnie z obietnicą, którą złożył przed wyjazdem na południe kraju. Z pewnością nie brakowało trudności, ale Opatrzność zawsze hojnie odpowiadała na wysiłki braci. Pośród tych przeciwności rozkwitły nowe powołania. Było już siedemnastu młodych postulantów, którzy przygotowywali się do podjęcia bonifraterskiego życia zakonnego. Zaskakujące jest to, że mimo braku znajomości języka wietnamskiego, „Fra Nhan”, jak nazywali br. Williama, był na ustach wszystkich. Jego wielka prostota, życzliwość, uśmiech na jego naznaczonej zmęczeniem twarzy, pokora z jaką służył chorym, wykonując nawet najbardziej odrażające prace, uczyniły z niego autentycznego syna św. Jana Bożego i wszystkich tym ujął. Jego obecność była dla wszystkich znakiem nadziei i bezpieczeństwa.

POŚWIĘCAJĄC SIĘ MIŁOŚCI

Mocno stąpając po ziemi, która go już na dobre zaadoptowała i ze wzrokiem zwróconym ku horyzontowi, br. William witał uchodźców. W towarzystwie swoich współbraci leczył rany ciała i ducha ofiar wojny.

Modlił się, aby ta okrutna rzeczywistość była tylko koszmarem, z którego mógłby się obudzić. Nadzorował budowę struktur, które w mgnieniu oka mogły zostać zniszczone przez bomby. Ponadto



Br. William na targu, 1956

pomagał w wyrabianiu cegieł, przewożeniu piasku i gliny, pracował jak robotnicy, którzy byli zatrudnieni do tych prac.

Zawsze mówił, że bez miłosierdzia każde działanie byłoby bezowocne, brakowałoby mu prawdziwej siły.

Ten zakonnik z Zachodu wtapiał się w tłum na targu Biên-Hòa. Po powrocie udawał się do kaplicy na modlitwę. Po tej krótkiej przerwie szedł do kuchni, aby przygotować pożywną zupę dla chorych na gruźlicę, najbardziej z biednych.

Podczas posiłków nalegał, aby wszyscy dobrze się najedli. Jego bracia ciężko pracowali, by zapewnić opiekę i niezbędną pomoc.

Pod koniec życia poświęcał czas na porządkowanie leków, pisał do rodziny. Przepraszał, że nie jest w stanie robić więcej i że jest ciężarem dla swoich współbraci.

Całe jego życie przypominało płonącą lampę, która płonęła jednak nie dla siebie, ale dla bliźniego, a przede wszystkim dla Pana.

ŁZY WSPÓŁCZUCIA

Chociaż odczuwał silne pragnienie niesienia pomocy ludziom, czasami brakowało mu słów, by ich pocieszyć. Ale nie tylko tego! Brakowało również narzędzi chirurgicznych, aby uratować osobę, która była w niebezpieczeństwie śmierci.

Dla ciężko rannej kobiety br. William próbował zorganizować stół operacyjny, aby dwóch jego współbraci mogło podjąć próbę pilnej amputacji.

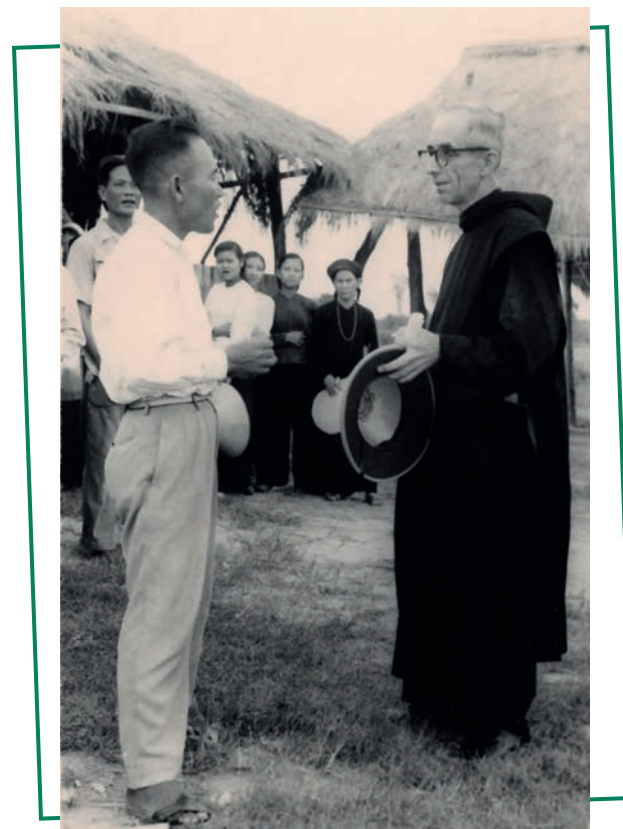
W obliczu tej tragicznej sceny zadbał o chwilowe oddalenie dzieci od kobiety. Na prośbę umierającej, udzielił jej chrztu.

Kobieta westchnęła i umarła. Pielęgniarka pochyliła głowę, w geście desperacji, że nic nie można już zrobić. Br. William ze współczuciem zamknął jej oczy. Przekazał jej ciało rodzinie. W wielu innych przypadkach sam zajmował się pochówkami zwłok.

Gdy został sam, wpatrywał się w horyzont i łzy płynęły mu po twarzy, ale nigdy nie stracił ufności w Boże Miłosierdzie.

ZDOLNOŚĆ DO PRZEBACZANIA

Br. William, gdy otrzymał policzek bez oporu nadstawiał drugi. W obrazach widział okazję do odkupienia, ale także do przebaczenia.



Br. William na rozmowie w Honai, 1959

W jego oczach człowiek mógł mieć wady, ale zawsze też miał dobre cechy i talenty. Dyskusja zawsze otwierała drzwi do ewentualnego pojednania.

Kiedy br. William myślał, że obraził drugą osobę, przeproszał ją.

Często działał jako rozjemca, jako mediator między dwojgiem skłóconych ze sobą osób. Pierwszemu przedstawiał racje drugiego, a drugiemu wyjaśniał chęć zmiany zachowania pierwszego. Br. William zwracał uwagę na światło, a nie na cienie. Widział w braterstwie możliwość przebaczenia urazy, odrzucenia pogardy i naprawienia więzów, które wydawały się utracone.



Przyznanie Medalu Honoru za Zasługi, 3 sierpnia 1967

ŻYCIOWE PRZYPADKI

Nasze życie przypomina wiele scen z filmu, gdzie tylko data i otoczenie są inne. Dzielimy naszą ludzką naturę pod czujnym okiem Boga, często dzieje się tak również między Założycielem a jego duchowymi dziećmi.

Biografowie św. Jana Bożego piszą, że paż, aby wystawić go na próbę, potracił go i pchnął do kadzi pełnej wody. Reakcją żebraka z Granady, z pokorą, ale i poczuciem humoru, był szeroki uśmiech.

W XVI wieku św. Jan Boży brał drewno na ramiona i napełniał swoją torbę resztkami jedzenia. Cztery wieki później br. William zbierał różne rzeczy pozostawione przez amerykańską armię, które można było wykorzystać w szpitalu i wspólnocie: krzesła, meble, przewody, itp.

Z pomocą niektórych współbraci ładował te rzeczy do samochodu, należącego do misji, aby zabrać je do domu.

Pewnego dnia jacyś żołnierze przechodzący obok śmiali się z naszego „zbieracza złomu”. Na ich szyderstwa br. William odpowiedział pięknym uśmiechem. Znalazł w tym miejscu przedmioty, które nadal mogły się przydać, bezpośrednio lub pośrednio w praktykowaniu szpitalnictwa. To była jego nagroda.

OPATRZNOŚCIOWA INTUICJA

Między 30 a 31 stycznia 1968 r., podczas obchodów wietnamskiego święta *Têt* (wietnamskiego Nowego Roku) północnowietnamska armia i Viet Cong przeprowadziły niespodziewany atak na armię południowowietnamską i siły amerykańskie.

W następnym dniu po starciu na terenie misji, czyli wokół klasztoru, szpitala i innych budynków, zatrzymało się około 7000 uchodźców.

Br. William był wstrząśnięty tym niezwykłym tłumem. Kilka godzin po ich przybyciu, zaczął martwić się niehigienicznymi warunkami i możliwym rozprzestrzenianiem się chorób. Z ciężkim sercem postanowił poprosić braci o rozproszenie tłumu.

Uchodźcy zabrali swoje rzeczy i odeszli z dziećmi, niosąc na ramionach nędzny dobytek.

Następnej nocy atak wojskowy wstrząsnął całym regionem Sajgonu. Niektóre bomby spadły na teren Misji i zabiły kilka osób, które odmówiły odejścia.

Z wielkim zdumieniem współbracia zauważyli, że dalekowzroczość br. Williama ocaliła życie tak wielu innych ludzi.

Kolejne wydarzenie zasługuje na wspomnienie: latem 1969 r. w upalny dzień, br. William wyjątkowo zwolnił braci z rekreacji w sali wspólnotowej. Wszy-

scy postanowili wrócić do pracy. Ten fakt uratował życie braciom: kilka chwil później rakietka eksplodowała na środku pomieszczenia.

Jego bracia widzieli w tych wydarzeniach opatrnościową intuicję, której posłannikiem był br. William.

PRZYPADKOWY POCISK

Wciąż jesteśmy w kontekście *Têt* w 1968 r. Wokół Misji szalały walki. Słysząc było huk broni i liczne wybuchy bomb. Bracia rzucili się na ziemię. Przygotowywali się do oddania swoich dusz Bogu, przestraszeni obudzili br. Williama, który wciąż jeszcze zaspanym głosem zapytał ich, dlaczego się denerwują.

Czyż nie martwicie się za bardzo? Według niego trzeba było zaufać Bogu i nabrać sił do pracy, która czekała ich następnego dnia. Ostatnia godzina jeszcze nie nadeszła! Czas należał tylko do Boga.

Ale oto rozległ się gwizd kuli i jeden ze współbraci rzucił się na br. Williama wpychając go do celi. Kula roztrzaskała jedną stronę delikatnej drewnianej ramy drzwi, podczas gdy br. William zachował swój stoicki spokój.

POWRÓT DO OJCZYZNY

W sierpniu 1959 r. br. William powrócił do Montrealu do szpitala Notre-Dame de la Merci, aby wziąć udział w kapitule prowincjalnej zaplanowanej na październik, podczas której został wybrany drugim radnym. Spędził trzy długie (dla niego) lata w Kanadzie, podczas których powrócił do zdrowia. Skorzystał z okazji, aby odwiedzić członków rodziny i ciężko chorą matkę. Prowincjał br. Judicael Maréchaux nie chciał odsyłać go z powrotem do Wietnamu ze względu na jego wiek (sługa Boży miał już 57 lat), klimat i trwającą wojnę. Ale br. William marzył tylko o powrocie. Okres odpoczynku, narzucony mu przez przełożonych, przeżywał jako wielki krzyż, oddając się Opatrzności: *"Jeśli Dobry Bóg, mówił, nie chce, aby jakaś rzecz się wydarzyła, nic nie możemy na to poradzić"*. Było jasne, że sercem był w Wietnamie.

Ostatecznie pod koniec 1962 r. pozwolono mu wyjechać do Wietnamu. Br. William zatrzymał się w Rzymie, aby zrezygnować z funkcji drugiego radnego prowincjalnego, sprawując do 1968 r. funkcję przeora szpitala Matki Bożej Dobrej Rady w Bien-Hoa w Honai.

Później stan zdrowia br. Williama się pogorszył. Nie czując się już na siłach do pełnej realizacji swojego zadania, aby nie być ciężarem dla już i tak przepracowanej wspólnoty misyjnej, w kwietniu 1971 r. niespodziewanie poprosił o możliwość powrotu do Kanady. Jego prośba została przyjęta przez przeło-

żonych listem z dnia 4 lipca 1971 r. Jednak z powodu nieprzewidzianych komplikacji Prowincjał br. Elia Le Gresley poprosił go, aby został trochę dłużej w Honai, aby pomóc przełożonemu w formowaniu nowicjuszy wietnamskich. Br. William oddał się do dyspozycji przełożonego, posłusznie wypełniając jego prośbę; z pewnością nie mógł odmówić swojego zaangażowania w formację braci, gdyż sam jako prowincjał tak pisał w liście z 23 grudnia 1944 r.: *"Za was, szczególnie za profesów zakonnych, modłę się do Boga, aby nappełnił was swoimi łaskami i pozwolił wam z każdym dniem coraz lepiej rozumieć ciężkie zadanie, jakie macie, czyli dawać zawsze dobry przykład młodym zakonnikom, ukierunkowywać ich i pomagać im zrozumieć piękno naszego powołania szpitalnego, poprzez wypełnienie wszystkich naszych zobowiązań i ślubów zakonnych"*.



Br. William z br. Elie Le Gresley, sierpień 1968

Ten opóźniony powrót do Kanady stał się poważnym zagrożeniem dla zdrowia br. Williama, który we wrześniu dostał ostrego zapalenia żył, które spowodowało nieustanny i przeszywający ból w nogach. Następnie, 23 grudnia, zawał mięśnia sercowego zmusił go do pozostania w łóżku na siedem tygodni. Oprócz cierpienia spowodowanego chorobą, cierpiał także z tego powodu, że nie mógł nikomu pomóc: ofiarował wszystko Najświętszemu Sercu, swojemu nieustannemu odniesieniu duchowemu. Jego stan wciąż się pogarszał, do tego stopnia, że 28 lutego 1972 r., po kilku atakach serca, podjęto decyzję o jego przeniesieniu do szpitala rządowego w Sajgonie, gdzie miał lepszą opiekę medyczną. Ale było już za późno: kilka godzin po jego przybyciu, o godzinie 12.05 tego samego dnia, Sługa Boży zmarł w ramionach współbrata. Otrzymał sakramenty przed udaniem się do szpitala. Jego ostatnie słowa brzmiały: „*Mój Boże!*”.

OWINIĘTY W LIŚĆ HERBATY

Przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji, br. William zawsze oddawał się Bogu w modlitwie i uczynił to również w czasie rozeznania przed wstąpieniem do Zakonu Szpitalnego, udając się do sanktuarium redemptorystów Sainte-Anne de Beaupré znajdującego się w pobliżu miasta Québec, w Kanadzie.

Ta jego więź z redemptorystami towarzyszyła mu często, także w Wietnamie. Podczas jego wysiłków założycielskich w Bui-Chu, w Hanoi i w Honai, towarzyszyli mu niektórzy kanadyjscy misjonarze



Br. William i jego pielęgniarz br. Maurice Clement a Honai, Bien-Hoa, 25 luty 1972

redemptoryści, którzy byli mu bliscy aż do jego śmierci.

Z ich plantacji wysyłali liście herbaty do misji Honai. I właśnie w białe prześcieradło, leżące na łożku usłanym liśćmi herbaty, owinięto ciało br. Williama w dniu jego śmierci. Podczas gdy jego ciało spoczywało na tych liściach, Niebo witało jego duszę.

Nad trumną czuwał pluton wojskowy w uznaniu za posługę sprawowaną przez niego i jego współbraci na rzecz ludności. Już w 1967 r. premier gen. Nguyen Cao-Ky przyznał mu Medal Zasługi z tego samego powodu.

W trakcie homilii celebrans zacytował zdanie, które współbracia często słyszeli od brata Williama: „Wybrałem to miejsce na moją ojczyznę”.

Mieszkańcy Honai chcieli, aby ciało zostało umieszczone w trumnie z cennego drewna tekowego, a następnie złożone do grobowca z murowanych bloczków, gdzie nadal spoczywa u stóp posągu Świętej Rodziny, który tak bardzo kochał.

Było wielu, którzy świadczyli o jego świętości, która była świętością w codzienności, w poświęceniu na rzecz ubogich i chorych, którzy zetknęli się z tym apostołem Ewangelii, wielkim misjonarzem, jasnym światłem nadziei. Był przykładem nieograniczonej miłości, Sługa Boży stał się *wszystkim dla wszystkich*, jak powiedziała jedna z pracownic szpitala, w którym posługiwał br. William.

Prawdziwy syn św. Jana Bożego.

W 1999 r. rozpoczął się Proceś Kanonizacyjny. 14 grudnia 2015 r. Ojciec Święty Franciszek uznał heroiczną cnotę brata Williama, ogłaszając go Sługą Bożym.



Grób br. Williama

Z PISM BR. WILLIAMA GAGNONA

“Pamiętajcie, że dla tego, kto kocha, wszystko jest łatwe, a dla tego, kto nie kocha, wszystko jest uciążliwe i męczące. Budzi w nim odrazę nawet to, co mogło być przyczyną jego szczęścia”.

“Zaszczyty to tylko dym i ogień ze słomy. Ważne jest jedynie dobro, które uczyniliśmy, jesteśmy wdzięczni Bogu za to, że w każdej chwili daje nam te radości”.

“Coraz wyraźniej widać, że to nie broń doprowadzi do pokoju, ale modlitwa i miłosierdzie”.

“Rany Najświętszego Serca Pana Jezusa są dla mnie jedyną pociechą i tylko w Nim mogę znaleźć szczęście, jeśli jest ono na tej ziemi”.

„Nie obchodzą mnie tytuły. Najważniejszą rzeczą jest poddanie się woli Bożej”.

“Jesteśmy przede wszystkim ludźmi modlitwy. Bez modlitwy nie możemy otrzymać żadnej łaski, a bez łaski nic nie możemy zrobić”.

ŚWIĘTY JAN BOŻY ZAŁOŻYCIEL BONIFRATRÓW

Nie wszyscy wiedzą, że prawdziwe imię św. Jana Bożego to Juan Ciudade i że pochodził on z Portugalii, z Montemor-o-Novo. Miejscowość tę opuścił w wieku zaledwie ośmiu lat udając się do Oropesy, w Hiszpanii, gdzie zaopiekowała się nim rodzina Francisco Cid, zwanego “el Mayoral”. Dwa razy opuszczał Oropesę, aby wziąć udział w wojnie jako żołnierz: pierwszy raz w Fuenterrabía, w Pirenejach a drugi raz w Wiedniu, gdzie walczył przeciwko Turkom. Z Wiednia dotarł do Hiszpanii i powrócił w swoje rodzinne strony. Tutaj rozpoczął się jego czas nieustannego poszukiwania tego, czego Pan chciał dla niego. Sewilla, Ceuta (Maroko), Gibraltar i na koniec dotarł do Grenady, gdzie osiadł stając się handlarzem książek. Po wysłuchaniu kazania Jana z Avili w Pustelni Męczenników 20 stycznia 1539 r., w uroczystość św. Sebastiana, poczuł w sobie ogromną przemianę i zaczął wykrzykiwać światu swoje “szaleństwo” do tego stopnia, że został uznany za obłąkanego i umieszczono go w Szpitalu Królewskim w Grenadzie. Gdy po kilku miesiącach Jan opuścił szpital był zdecydowany, aby pójść za Chrystusem. Dzięki kierownictwu duchowemu mistrza z Avili, Jan Boży odbył pielgrzymkę do Sanktuarium Matki Bożej w Guadalupe i wracając do Granady, rozpoczął swoje dzieło, spiesząc z pomocą ubogim, chorym i potrzebującym. Pracował, prosił

o jałmużnę, zbierał ubogich i prostytutki z ulic: stopniowo pierwsi pomocnicy i darczyńcy dołączali się do niego. Jego sposób proszenia o miłosierdzie był bardzo oryginalny: *“Braci czyńcie dla siebie dobrze! Czyńcie dobro bracia!”*. Jesienią 1539 r. założył na ulicy Lucena swój pierwszy szpital, dom Boży, gdzie wszyscy mogli otrzymać pomoc. Wraz z pierwszymi współpracownikami zorganizował opiekę zgodnie z potrzebami tych, których uważał za ‘swoich’ ubogich. Arcybiskup Grenady, tego samego roku, dał mu habit zakonny i imię, które ludność już wcześniej mu nadała “Jan Boży”. W 1547 r. Szpital został przeniesiony na wzgórze Gomeles. Jan zmarł 8 marca 1550 r. w opinii świętości. Jego pierwsi współtowarzysze założyli później Zakon Szpitalny św. Jana Bożego – Bonifratrów. Proces beatyfikacyjny Jana Bożego odbył się w 1630 r. a 16 października 1690 r. został kanonizowany przez Aleksandra VIII. W roku 1886 papież Leon XIII ogłosił św. Jana Bożego patronem chorych i szpitali, a papież Pius XI w 1930 r. patronem pielęgniarzy i ich stowarzyszeń. Papież Pius XII, w 1940 r., ogłosił go drugim patronem Grenady. Św. Jan Boży jest, jako człowiek, przykładem hojności i otwartości wobec bliźnich.

MODLITWA WSTAWIENNICZA

O Panie, mój łaskawy Boże, Ty poprzez prostotę i miłosierne oddanie Twojego sługi Williama Gagnona pokazujesz nam ewangeliczną drogę do świętości, którą on realizował w samarytańskiej posłudze chorym i ubogim.

Prosimy Cię, udziel nam łaski, abyśmy mogli naśladować jego przykład w okazywaniu miłości do bliźniego; niech będzie on dla nas wzorem i orędownikiem.

Przez wzgląd na Twoją dobroć Panie, prosimy Cię, udziel nam za jego wstawiennictwem Twojego błogosławieństwa i łaski, o którą Cię prosimy (...), aby świadectwo i świętość Twojego wiernego sługi Williama Gagnona zostały uznane przez Kościół ku Twojej większej chwale

Ojczy nasz..., Zdrowaś Maryjo..., Chwała Ojcu ...

W celu uzyskania szerszych informacji:

Postulazione Generale

Ordine Ospedaliero di San Giovanni di Dio
Via della Nocetta, 263 – 00164 ROMA - Włochy

e-mail: postulazione@ohsjd.org

www.ohsjd.org